

Monologi

Piątkowska, Konstantyna Ignacja (1866-1941)

Adres URL obiektu

<https://polona.pl/preview/8547af51-cb0d-4d31-bb48-db7485d54e64>

Data wygenerowania dokumentu pdf

28.11.2025

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednolicony

Monologi

Autor

Piątkowska, Konstantyna Ignacja (1866-1941)

Adres wydawniczy

Warszawa : Jan Fiszer, [1928] (Warszawa : W. Cywiński).

Data powstania dokumentu

1928-01-01

Język

polski

Sygnatura

540.820/67-68

Prawa do utworu

Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.

Źródło

Biblioteka Narodowa

Obiekt zdigitalizowany w ramach projektu:

Patrimonium

BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY

67 i 68.

MONOLOGI

SKREŚLIŁA

IGNACJA PIĄTKOWSKA.

W poszukiwaniu żony. — Pierwsza miłość.
Handlarz Sruł. — Marjanna Dudek na urlopie.
Walentowa.

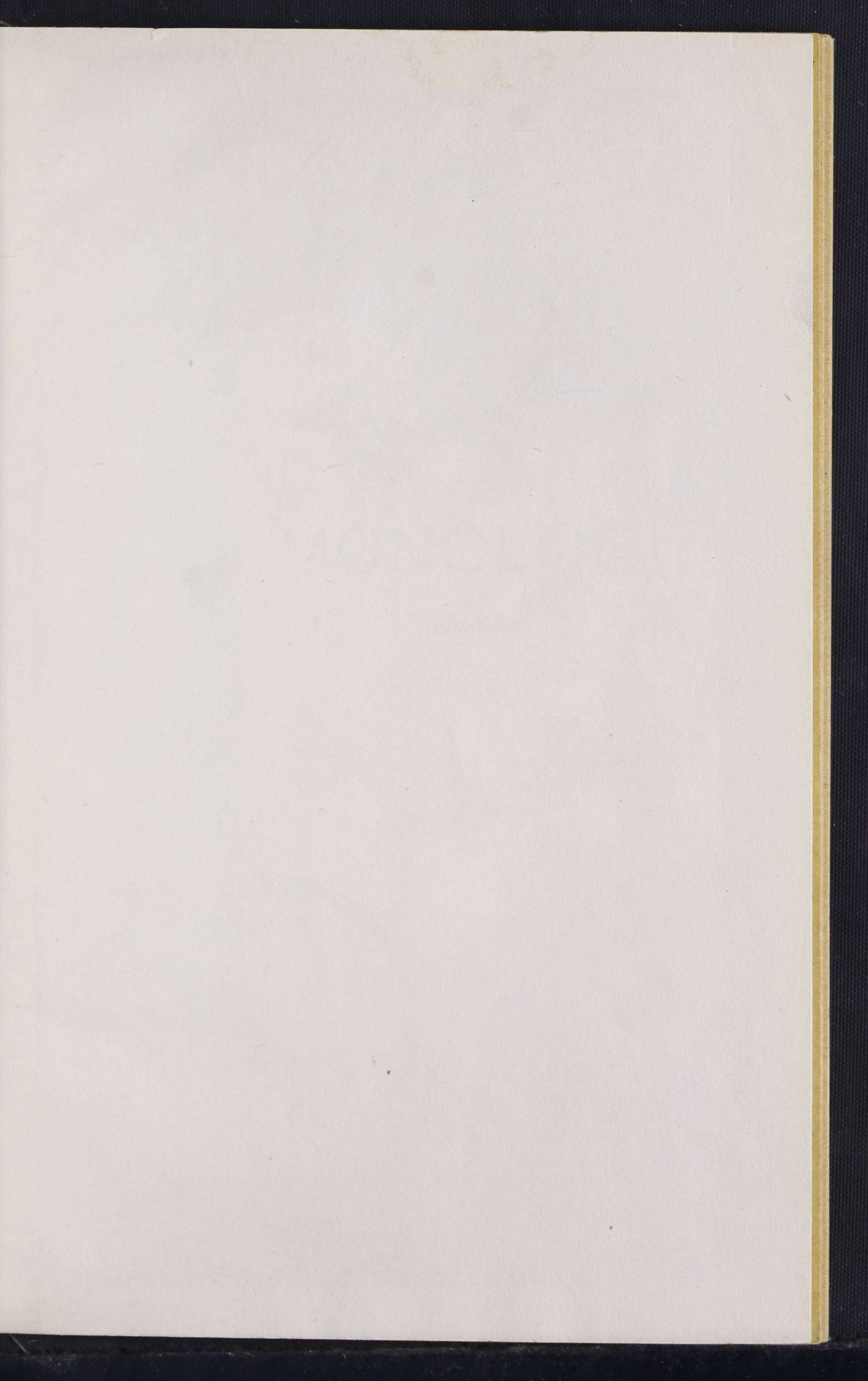


NAKŁAD JANA FISZERA
WARSZAWA — PL. DĄBROWSKIEGO 4.

540820

67

68



540.820 / 67-68

BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY.

67 i 68.

MONOLOGI

skreśliła

Ignacja Piątkowska

W poszukiwaniu żony — Pierwsza miłość.
Handlarz Sruł. — Marjanna Dudek na urlo-
pie. — Walentowa.

WARSZAWA. JAN FISZER.

KOMISARZAT RZĄD
m st WARSZAWY

Exemplarz obowiązkowy

Nakład *2000* egz.

dnia *20/12* 19*28*



I. 540.820 / 67-68

1928. E. O. 3153

Druk W. Cywińskiego, Warszawa, ul. Nowy Świat 36.

W POSZUKIWANIU ŻONY.

(Mężczyzna lat około czterdziestu paląc papierosa, siedzi niedbale rozłożony na wygodnej otomanie, w pyjamie).

— Nie, już słowo daję nie umiem dać sobie rady z temi swatami moich ciotek. Bo trzeba państwu wiedzieć, że dotąd jestem w kawalerskim stanie i pragnę nim zostać do końca życia. Moje ciotki jednak u których mieszkam, na gwałt pragnęły abym się ożenił, inaczej zapewniały, że po ich śmierci nie dostanę grosza spadku, i wprost wydziedziczą mnie, a przytem nagadały tyle o konieczności ożenienia, o podtrzymanie rodu starego, o błogosławieństwie Boskim, i tak dalej, że cóż było robić, więc zgodziłem się na wyszukanie sobie towarzyszek życia. Uległość moja wpłynęła na to, że ciocie moje zaczęły mi podsuwać różne kandydatki. [Najpierw tedy ciocia Salomea, dotąd będąca w dziewiczym stanie mimo lat 60-u

zaprosiła w tym celu abyśmy się poznali mało co młodszą od siebie pannę Eulalię Pieprznicką, która niedawno odziedziczyła olbrzymi posag po swoim stryju z Ameryki. Dolary jednak nie zdołały ukryć ani jej siwych włosów, ani zyza w oku, ani łopatki krzywej, i nosa jak u sowy, dość, że skoro ją zobaczyłem, nie czekając kolacji, na której miałem się lepiej z mą przyszłą oblubienicą zapoznać, drapnąłem co tylko sił miałem, a chociaż ciocia Salcia wnet zwietrzyła mój manewr, i dogoniła mnie w przedpokoju kiedy brałem palto, chwyciła za ramię i przemocą wciągnąć chciała do jadalni, ale ja wtedy czując co się święci wyrwałem się jej z siłą i wieczór cały spędziłem w teatrze. Druga z rzędu kandydatka na żonę była względnie młoda jeszcze i nie brzydka, właścicielka majątku na wsi — istna kurka domestika, o niczem z nią rozmowy poprowadzić nie było sposobu: tak panie! ach panie! nie panie! to był cały repertuar jej słów. Zacząłem rozmowę o życiu wiejskim, o towarzystwie okolicznem — sąsiedztwie, potem o ludzie wiejskim, szkolnictwie, pracach i rozrywkach, nic nie pomagało, stereotypowy uśmiech, wejrzenie zarzynanego cielęcia albo owcy i deklinacja słowa „panie“ na różne tony, sposoby, i odcienia, oto wszystko. Nie czekając więc dłużej, po godzinie męczącej pracy językowej z mej strony, opuściłem salon mych ciotek, aby wrócić kiedy przestanie graso-

wać kandydatka na moją żonę. Zaproszono znów trzecią z koła swych znajomych — rozwódkę, uprzedzając mnie, że jest to kobieta czynu, działaczka, a w dodatku bogata właścicielka trzech kamienic w Warszawie. O Boże! chroń mnie od podobnej towarzyszki życia! Jak rozpoczęła ona dysputować, kontrować każdemu zdaniu jakie ktoś wygłaszał z otaczających, zdawało mi się, że słyszę koło rozpędowe dynamo maszyny, a co chwila gdy jej ktoś śmiał oponować, występowały rumieńce oburzenia na jej twarzy, a oczy małe świdrujące rzucały blask szalonego uniesienia, że przerażony o własnej osobie całość wymknąłem się niespostrzeżenie, a wróciłem dopiero będąc pewny, że nie spotkam już elokwentnej kandydatki na żonę.

Obiedwie ciotki moje Salcia panna 60-letnia, a Fruzia wdowa 62-letnia, oburzone były do niemożliwości, że śmiałem stawiać opór ich żądanom, i że najświetniejsze partje odrzucam z lekomyślnością, wymogły więc, iż napiszę ogłoszenie w matrymonjalnym piśmie, a wtedy z licznych kandydatek wybiorę może coś odpowiedniego dla siebie. Zrozpaczony a bezradny wobec tak silnego nacisku mych opiekunek dałem się wreszcie namówić, i dałem ogłoszenie mniej więcej tej treści: „Inteligentny kawaler na wyższym stanowisku szuka odpowiedniej kandydatki na żonę; pożądana osoba szczupła“.

No i odtąd zostałem zarzucany listami kandydatek na żony, blondynki, brunetki, rude, młode, młodsze, starsze, a był cały ich legjon — nie wiedziałem sam co z tym fantem zrobić. Znalazłem wreszcie sposób, do każdej z nich osobno napisałem, że będę dnia tego i tego, o tej i o tej godzinie, w ogrodzie botanicznym na oznaczonej alei, a proszę aby kandydatka na żonę stawiała się tam, a poznam ją po przypiętej bordo róży przy gorsie, i co państwo powiecie naliczyłem pań z różami przeszło dwadzieścia, a wszystkie były tak przerażająco chude, że je przeschypnąć było można, wprost się ich chudości przelekłem. Naturalnie do żadnej z nich się nie zbliżyłem, i aby uniknąć awantury czempředzej opuściłem ogród. Postanowiłem jednak nową próbę uczynić, i w podobnym znów ogłoszeniu, trochę odmiennej formy, zaznaczyłem, aby moja przyszła była dobrej tuszy. Kiedy więc znów uzbierała się spora lista ofert, naznaczyłem każdej osobno spotkanie w Łazienkach, prosząc o przypięcie do gorsów białego narcyza. Powtórzyło się identycznie to samo co z chudemi. Na oznaczonej przezemnie alei spostrzegłem pokąźną liczbę korpulentnych dam z narcyzami wpiętymi do gorsów. Damy te wprost przerażyły mnie ogromem swojej objętości. Naturalnie i teraz nie dałem się poznać żadnej z nich, i szybko nie oglądając się poza siebie pozostawiłem rozsiadłe

na ławkach, a sapiące od irytacji i nadmiaru tłuszczy panie.

Odtąd nie próbuję już poszukiwania żony za pośrednictwem ogłoszenia w pismach, i odpieram też z całą stanowczością wszystkie projekty małżeńskie moich ciotek, a chociaż codziennie grożą mi wydziedziczeniem, i nazywają niewdzięcznikiem, warjatem, idjotą, nie umiejącym uszanować woli jedynych sióstr śp. ojca, wysłuchuję z pobożną uległością tych tyrad, ale chcąc się uwolnić raz na zawsze od swatów — wiecie państwo jaki wynalazłem sposób? Otóż, postanowiłem wydać za mąż moje cioteczki. I co państwo powiecie, skoro wyjawilem im swój projekt z całą szczerością, każda z nich niby srodze oburzona, przyznały się kolejno, ciocia Salcia do czterdziestu wiosen życia, a ciocia Fruzia do 42 lat, dodając, że nie czas im myśleć już o osobistem szczęściu. Naturalnie nie prostowałem ich omyłki w odjęciu sobie po lat dwadzieścia, wiedząc że obiedwie nie są biegłe w matematyce, ale z całą gorliwością zająłem się szukaniem dla nich towarzyszków życia. Chętnie bowiem wyrzekam się obiecannej sukcesji, gdyż mam dla siebie dosyć, a jak ognia boję się narzucanej żony. Natomiast upatruję wytrwale konkurentów do rączek moich ciotek, a w przyszłości moich wujaszków. Dotąd trudno mi jakoś idzie—może jednak który z panów tu obecnych zechce złożyć swą ofertę,

bo jeżeli nie młodość, nie uroda, to zalety serca, umysłu i majątek nawiasem mówiąc, po dwie kamienice, kapitał, i wiejska posiadłość każdej, zachęcą którego z was do poślubienia moich cioteczek — no i nadzieja posiadania w dodatku takiego jak ja — siostrzeńca.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Mężczyzna lat 60-ciu, szronowaty, dystyngowanej powierzchowności.

Bardzo państwa pewno zadziwi, że ja, człowiek lat 60-ciu, z górą, mający dzieci i wnuków gromadkę, opowiem o mojej pierwszej młodzieńczej miłości. Byłem w szkołach i od jakiejś czwartej klasy do ostatniej, kochałem się w pięknej pensjonarce zrazu, a potem gdy wyszła z pensji w dorosłej pannie na wydaniu, starszej odemnie o dwa lata Laurze.

Było to dziewczę ujmujące, śliczne, ale parzyła z pewną wyniosłością na sztubaka, kiedy ona już jako dorosła bywała z rodzicami swymi na balach, a będąc piękną i posażną jedynaczką miała cały rój wielbicieli w koło siebie. Ja jako syn przyjaciół jej rodziców bywałem często w ich domu, ale uczuć swoich nie śmiałem przed nią wyrazić, wiedząc, że wyśmiałaby je, a nawet obrzuciła ironią bezlitosną amory onieśmielonego

gimnazysty. Wreszcie losy nas rozdzieliły z sobą zupełnie, ja pojechałem na dalsze studia uniwersyteckie za granicę, a przez ten czas ideał mych marzeń młodzieńczych została żoną jednego z bogatych i ustosunkowanych konkurentów do swej ręki. Dowiedziałem się o tem przed ukończeniem medycyny. Wreszcie sam zdobywszy już odpowiednie stanowisko umożliwiające utrzymanie rodziny jako lekarz powiatowy w jednym z małych miasteczek, pojąłem za żonę dziewczę młodsze odemnie o lat dziesięć, pełne wdzięku, a zarazem wielkich zalet serca i umysłu. Dziś jesteśmy już starym małżeństwem od lat trzydziestu kilku, wychowaliśmy trzech synów, dwie córki, wszystko już pożenione i powydawane za mąż i na stanowiskach, żona moja dobrze i świeżo wygląda, i cieszy się zarówno jak i ja często przybywającymi wnukami. Nie udaje ona matrony, gdyż mimo lat 50-ciu ma dużo jeszcze temperamentu młodzieńczego w sobie i ożywienia, a zarówno postępowaniem jak i nieprzesadnie modnym strojem, godzi się z rolą matki i babki, a także kobiety za którą już przeszła młodość i jej prawa. Długo nie byłem w Warszawie, a jeżeli wpadałem to na bardzo krótko, aby załatwić przez dzień jeden, naglący interes i wrócić. Tym razem na zaproszenie mojego kuzyna Stefana wybrałem się do niego na dni kilka. Stefan ucieszony z mych odwiedzin, zaraz w pierwszym dniu mego przybycia, zapro-

ponował abym dla rozruszenia się po życiu prowincjonalnem poszedł z nim na dancing. Zlituj się Stefanie, co ja tam będę robił? wymawiałem się od pójścia, ale kiedy mi Stefan powiedział że zobaczę tam dawny swój ideał panią Laure, zdecydowałem się pójść, nie mniej zaciekało mnie jakim sposobem mogę spotkać na dancingu osobę, która w pojęciu mojem musiała już być staruszką.

Na tę uwagę moją zaśmiał się z całą szczerością mój towarzysz, i bez dalszych komentarzy poszliśmy na ów taneczny wieczór. Po drodze opowiedział mi tylko Stefan, że pani Laura kolejno dwóch mężów pochowała, a z dwoma następnie się rozwiodła, — no i teraz czeka na piątego. Naturalnie brałem to za żart ze strony mego kuzyna, wiedząc, że jest niezrównany w opowiadaniu różnych niebywałych humorestek. Po wejściu na salę ciekawie upatrywałem mej rówieśnicy, ale nigdzie osoby jakiej się mogłem spodziewać nie ujrzałem, zwierzyłem się więc Stefanowi i ten z właściwym sobie uśmiechem satyra podprowadził mnie do grona ożywionych, flirtujących i śmiejących się pań w otoczeniu zwartem wytwornej młodzieży. Wszystkie były jak jedna strojne w sukienki przykrywające ledwo biodra, a nie sięgała z nich żadna kolan, dekolacje ich z tyłu do samego pasa i z przodu do wgłębienia piersi, wprost przyprawiły mnie, przybysza

z głębokiej prowincji o onieśmielenie, oczy podczernione, usta i policzki ukarminowane, co wszystko było dla mnie przyznaję nie przyjemną niespodzianką, bo nie widywałem tego nigdy w moim zacisznym oddalonym od stolicy miasteczku, każda z pań miała krótko ucięte włosy i ufarbowane kolorem odpowiednim do sukni. Zaciekawiony byłem jednak czemu to kuzyn mój kieruje się w tę stronę, skoro obiecał mnie przedstawić i przypomnieć pamięci pani Laury. Ledwo chciałem go o to zagadnąć gdy Stefan stanąwszy przed jedną z tych pań, najbardziej krzycząco strojną, odezwał się: „przyprawiam pani, pani Lauro dawnego znajomego, a pewno i przyjaciela lat młodzieńczych, mój kuzyn, Feliks Zaleski“. Jeśli wówczas nie zmieniłem się w słup soli na widok towarzyszek moich lat młodzieńczych, to tylko dla tego że nie jestem żoną Lota, a starym, traktującym poważnie życie doktorem, i dźwigam z godnością ciężar moich lat 60-ciu, tytuł dziadka i ojca, przy siwiźnie na dosyć bujnej jeszcze czuprynie. „Co? więc to ma być pan Feliks? zabrzmiała kaskada dziewczęcego głosu, i strojna chłopczyca z uśmiechem podała mi ubrylantowaną rączkę, którą przcisnąłem do ust z głębokim ukłonem. „Nigdy nie byłbym Pani poznał“ zawołałem żywo, jakby zawstydzony jej sztuczną młodością, gdyż teraz dopiero pod warstwami różnych kosmetyków, różu i czernideł, zobaczyłem

nieubłagane ślady zębów czasu. „Tembardziej ja nigdy bym pana nie poznała“ dorzuciła pani Laura chociaż nic w tem dziwnego, bo przecież jak Pan wyjeżdżał po skończeniu gimnazjum na studia, byłam maleńką — kilkoletnią zaledwie dziewczynką“. Chciałem wówczas zawołać, pełen jakiejś radosnej złośliwości — zdaje się, że było nieco inaczej jak szanowna pani twierdzi, bo ja miałem wówczas skończonych lat ośmnaście, a pani była o dwa lata starszą odemnie, a więc dorosłą już panną na wydaniu, nie powiedziałem jednak tego, skłoniłem się tylko z powagą, i ujmując pod rękę Stefana, czempredzej skierowałem kroki swe ku wyjściu z tanecznego lokalu. Co ci się stało? Co to ma wszystko znaczyć wytłomacz mi Feliksie? zawołał Stefan — czyż tak silne wrażenie uczyniła na tobie dawna twoja miłość, iż nie czujesz się na siłach aby na nią patrzeć? Nie Stefanie, odparłem z powagą, myślałem jednak dotąd, że słońce przez dzień świeci, potem zachodzi zmierzch, a wreszcie noc, myślałem że i w życiu bywa zrazu jasny, promienny, pełen światła dzień, co jest młodością, a prawem istnienia następuje starzenie się, zmierzch, a w końcu okres niebytu — noc, skoro jednak zobaczyłem jak kobieta starsza odemnie dopełnia przeinaczenia praw natury, a szminką zaciera licznych zmarszczek ślady, i w gronie młodzieży trzpiota się i flirtuje jak młode dziewczę, wyczuwam za nią wstyd. W czasach mej młodości

wiek obliczony przez Balzaka dla kobiety lat 30, był kresem wszelkich jej ułud młodości — patrząc więc dziś na tę ruinę pięknego, świeżego niegdyś dziewczęcia, żal mi moich marzeń młodościowych, żal — że ich przedmiot skoro wkroczył na starości szanę pozwolił stać się niewątpliwie pośmiewiskiem dla wszystkich. Wszakże ja jestem od niej młodszy — a już starcem prawie, przyznasz mi chyba słusność, że mogę być gorzko dotknięty, widząc jak matrona lat sędziwych pokrywszy twarz swą szminką, a postać strojem ostatniej młodocianej mody, oddaje się flirtowi i tańcom wraz z temi, które mogłyby być jej wnuczkami, zamiast przyjąć z godnością ciężar lat swoich. Długo jeszcze na ten temat moralizowałam — a Stefan milczał, wreszcie dopiero po chwili, przerywając słowa moje dorzucił: — Masz słusność Feliksie, ale co mają robić kobiety, które mimo lat sędziwych mają zdrowie, — a dusze i usposobienie młodzieńcze? Dotąd jeszcze nie wynaleziono dla nich eliksiru młodości, pozostają im więc jedynie szminki i kosmetyki, którym nawet w praktycznej Ameryce poświęcają kobiety miliony. Sławny dr. Woronow odmładza jak dotąd tylko mężczyzn, przeszczepianiem im gruczołów z małp i baranów, ale jest to środek zbyt dla ogółu kosztowny i gdyby okazał się na przeciętne fundusze możliwy, ręczę że pierwszy ty mój Feliksie, a następnie ja, pod-



dalibyśmy się eksperymentowi temu na to tylko, aby odzyskać znów upragnioną młodość — bo pragnienie zachowania jej jak najdłużej leży w naturze ludzkiej — tymczasowo, rzekł, zwracając się do mnie, kiedy żywą zajęci rozmową odbiegliśmy już kawałek idąc prosto ulicą, — chodź ze mną do fryzjera, bo strasznie mi wyglądasz na prowincjonała z zapadłego kąta, a ręczę, że wychodząc z jego gabinetu odmłodniejesz o jakie lat kilkanaście.

Automatycznie dałem się Stefanowi poprowadzić do wspaniale oświetlonego lokalu, gdzie za poradą mego kuzyna ogolono mi zupełnie na sposób angielski zarost, przyciemniono czuprynę, i co państwo powiecie, tak odświeżony wróciłem na dancing. Tu schylając się przed rozpromienioną widokiem moim panią Laurą, popłynąłem z nią w takt upajającego blusa — a następnie zakosztowawszy rozkoszy zabawy, obtańczyłem kolejno cały szereg pań bez znużenia, a z zapalem młodzięczym noc całą (*ogląda się w koło*). Na Boga! co ja też zrobiłem, przyznałem się głośno do mojego szaleństwa. — No, ale słowo daję nie moja w tem wina, tylko tego wartogłowa Stefana, który mnie do wszystkiego namówił. Co by jednak na to powiedziała moja zacna połowica, a dzieci, wnuki i całe grono moich licznych pacjentów? — Pocieszam się tem jednak, i mam tę błogą nadzieję, że nikogo tu nie ma z mojego

zapadłego kąta, — a dla ostrożności nie powiem też państwu jak się nazywa miejscina gdzie jestem od lat trzydziestu jedynym na całe miasto i okolice lekarzem.

HANDLARZ SRUL.

(Typ zwykłego Handelesa, obwieszony torbami).

Handel! handel! skupuję skórki, jajke, starżizne, wsistko kupuję — wsistko spsiedaję, wsistko faktoruję! (*siada oddychając ze zmęczenia*). Aj waj mir, jak ja się zmęciałem, od piąty godziny rano juś na nogach, nastrećiali mi że o dwa milów stąd są na spsiedarz cieleća, ny i kupiłem je, ale co to był za kłopot zanim je tu psipędziulem, to niech mają taki moje wrogowie, ledwo jedno zagnałem kawalek, to mi już drugie fik mik, fik mik ucieka, ledwo ich dogoniałem, no a też musiałem po drodze obrobić fajń interes wedle swatów, boć przecie wiadomo, że Srul taki swat, że na całki szwiat, a posłał mnie wdowiec, wiecie państwo ten młynarz z Dąbrówki, żebym się dowiedział czyby mu Ciapy z Monic nie dały swoi córki za zione, no i pewno uda mi się dobry gesieft zrobić, bo ja to tak umiem delikatnie, z gziećnością pochwalić, namówić, że zawsze mi

się uda. Wsiscy już wiedzą, że w swataniu to nie-
ma nikogo nad Srula, i bogate i bidne i młode
i stare, i ładne i bzidke, w mig wsistkich obże-
nie. Niech się państwo nie dziwują, biedny zi-
dek musi też coś zarabiać, a każdy gesieft, jest
gut gesieft. Ny, co państwo nie rozumieją? Ja już
tak moim kepele robiąłem, co panne garbate co
miało na plecy jakby cały bochenek tak zachwa-
liłem kawalerowi, że mu się wydawała prosta jak
laske, albo jasne świce, a inna co miała oczy świd-
rowate, jedno tu, drugie tam patrzyło, to jak zaczą-
łem przychwalać, to kawaler myślał, że ma una
takie oczów jakby najpiękniejsze brylantów. Bo
Srul wszystko potrafi, wsistko zrozumie, na maj-
ne munes, ino trzeba mu wierzyć, i całkiem na
niego się spuścić, a będzie git geszeft. Aj, waj,
co ja tych fajn gesieftów narobiałam, a co ko-
niów rarytnych spsiedałem, to już tego wszyst-
kiego nie zliczy. Jak potsieba było jakiemu dzie-
dzic do pary kasztana, a ja miałem siwka, to go
się wnet psiemalowało na kasztana, a nieraz był
to škape z tego samego dworu i sam szure, u któ-
rego się wychował, go nie poznał, i za kasztana
kupił. Jak był znów ślepy koń, to powiedziałem
że patrzy jakby zajac, no i kupili go, a jak już
raz zapłacili i wzięli to ja przecież nie oddam im
pieniądzów, bo przecie mógł w drodze zaślepnać,
a co mnie to obchodziło? a znów jak była szka-
pe schwacone kulawe, tom tak nad nim świstał

batem, że on skikał jak panne w tańcu, no i za zdrowego się spsiedało.

Zborzie znów to był mój rarytny gesieft, kupiałem zawsze taniej od głupiego chłop, naga-
dałem mu że pół plewa, głupi goj wierzył, a ja
potem naprawdę dosypałem plewy i spsiedałem
drugiemu gospodarz jako pierwsze klasów zborzie.
Co robić! trzeba zić, a bez takich gesieftów coby
robiąło moje słodkie Ruchle i dziesięć fajń ba-
chorków? Aj waj mir co ja mam za zione te
moje kochane Ruchle (*kląska*), co to za fajń ko-
bite, same prowadzi gesieft, ma ona budke, a jak
jarmark w Sieradzu, to ona cały dzień siedzi i spsie-
daje różności, jajke, pierniki, makagigi, ser, ce-
bulkes, ciosnek, a i tasiemkę, igłę, nici, coby się
nie chciało, wsistko jest u mojej Ruchle, a co
naksici, co nawoła, to ją na połowe rynku sły-
chać. Wieczorem jak wróci do domu to już cał-
kiem gadać nie może, taka zachrypnięta, wtedy
starsie córecke Esterke co ma już dziesięć roków,
trze dla mame ciosnek, cebulke i gotuje to z mle-
kiem od własnej kozy, to jej zaraz pomaga i na
drugi dzień moje kochane zione zdrowe jak ryb-
ke w wodzie, siedzi w swoi budce, a woła ciąg-
le i ksiczy na przechodzące goje „proszę państ-
wa, proszę do mnie kochane pani, drogie pani,
u mnie wszystkiego dostanie“, a nie przepuści
nikogo, i woli o grosz taniej spsiedać, aby tylko
duzio utargować, ny, co prawda ona na tym nie

traci, bo to mądre kepele, nie domierzy, nie do-
liczy, nie dowąży, ale tak tym swoim fajn zach-
walaniem, gziećnością, potrafi ogłupić, że każdy
goj leci, i od nikogo nie kupuje tylko od niej.
Namawiali mnie abym jechał do Palestyny, ale
Srul się nie da obalamucić — na co mi Pales-
tyne, poco mi Palestyne? co byśma tam robiali?
tam niema głupich gojów żeby ich można oszu-
kiwać. Mój szwagier Herszlik był tam rok cały, ale
uciekł z tamtąd, i mówił, że te Araby co tam mie-
szkają, to mają być jeszcze sprytniejsze od nas
Zidków, i nie my ich, a oni nas osiukują. Goje
mówią, że Palestyna to jest kraj zidowski, a co
mi po nim, co mi po całej Palestynie, wolę ja
już tu być z gojami, bo chociaż oni nazywają się
większością narodową, a nas Zidków nazywają
mniejszością, to nie oni, a my niemi rządzymy —
Kto tu ma pieniądze? Zyd. Od kogo goj pożyczy?
Od Zyda. Od kogo kupi? Od Zyda. Komu sprze-
da? Zydowi. Te wszystkie głupie gadania „swój
do swego“ dużo nam co prawda w handlu szko-
dy robią, i straciliśmy troche kundmanów, ale
to tylko z ślachty, i tak zwanej jenteligencji — bo
chłop zwyczajny, nasz pocziwy goj, nie da się
obalamucić, i po dawnemu wszystko sprzedaje,
i kupuje u zidka. Mój brat Jankele ma na ten
psikład czapki i kozuchy na sprzedaż, i wystaje
z towarem swoim na jarmarku. Niech się do nie-
go chłop zbliży, on zaraz wiskoczy z uszanowa-

niem, pozdrowi pana gospodarz, pana dobrodzi, naopowiada mu różności, że zna jego żonę, dzieciów, choćby ich na oczy nie widział, a kiedy ubierze goja w zgodzony już kozuch albo czapkę, to skaka przed nim jak opętany i woła: „ny, kto tu stoi przedemną, to pewno dziedzyc jaki?“ a po chwili dopiero jakoby rozpoznaje Maćka albo Wawrzyna i woła z uradowaniem do syna swego Joska — „patrz Josele, to nie dziedzic, to pan Maciek z Wolki, na majne munes Maciek!“ chłop uradowany gotów ucałować brode Jankla i daje za towar ile ten zaziąda. Taki gesieft to rozumiem, a wszystkie zidki to potrafimy, na co nam więc Palestyne, na co wyprowadzka? Kiedy nam tu git, a chociaż ja i moje kobite musimy się nakręcić, nalatać, nachwalić towaru, to za parę roków zanim dieczów dorosną, dorobimy się już fajn geld, a nasze małe Lewek, Cherszel, Pinkus, Jojne i Mosiek będą pewno już dziedzycami, a córeczki takie fajn, takie słodkie, Ryfke, Esterke, Rózie, Frajde i Gołde zostaną — hrabinami! — Państwo sie śmieją — ny, to niema żadnego szmichowania. Nasze jasznie wielmożne goje to są jako ptaszke, wszystko rodzić sie gołe, ale są takie ptaszków, co już nigdy nie dostaną pirzów, bo już ich pape wsistkie pozwolił sobie wiskubać. Jak troche podrosną, to ci, i tamci, chcą na gwałt, aby znów porosły w nowe pirzów, to też jak zwachają, że jest gdzie panne do zyniaczke,

a ma dużo geldów, to zlatują się do ni jak by im kto lepu nastawił, aby tylko dostać bogate zione, to też wiem, że jak się dorobiema, i będziemy mogli dać duże posagów, dużo geldów naszym córke, to chociaż one żydówke, będą mogły jak w ulęgałkach wybierać między hrabiownikami.

— Ny, ale dosyć tego gadania, wipocząłem sobie, trzeba iść dalej (*wstaje, po chwili woła oglądając się w koło*), Handel! handel! skupuje skórki, starzizne, jajke, wsistko spsiedaje, wsistko kupuje. Handel! handel!

(*zastona spada*).

MARJANNA DUDEK NA URLOPIE.

(Marjanna Dudek ubrana przesadnie w modną krótką suknię, ucięte włosy).

Kłaniam się Państwu i przedstawiam jako jesztem Marjanna Dudek z Zapusty z pod Sieradza, a od nieszpelna dwóch lat prawowita Warsiawianka. Musze też państwu opowiedzieć od szamego kończa jak zostałam ową Warsiawianką. Sprzykrzało mi się przy ojcach w chałupie, to też za namową faktorki z Sieradza pojechałam do owy Warsiawy. Bo czo to za życie na tej wsi, Panie Święty, to zemrzeć można z umartwienia! Skoro

ino do Warsiawy zajechałam razem z tą faktorką
czo mnie tam zawiezła, dostałam sie naprzód do
państwa Podrygalskich — zaboczyłam już jak sie
ich ulica zwała, ale wiem że jak zesz'am z kolei
to szłam, szłam, aż wedle jakigoś długachnygo
mosztu szkręciłam na lewo, potem na prawo i nie
obejrzałam się kiej byłam koło ich chałupy. Oj
zrazu mi markotno było w tych wielachnych po-
kojach, a pani cinglim godała zem miedźwidź
niezgrabiosz. Ni tam kawałka płota, ni podwór-
ka, ni sztodoły, ani chliwa, ni kurnika, bo ludzie
tam żyją nijak przez bydłęcia, nie ujrzyć tam,
ani kury, ani prosięcia, a nie psymiarkiem nima
i psza poczwiwygo. Pani moja miała ta jakigoś
scynioka, ale to pono miało jus styry lata, ale
maluśke było jak pięść, a kudłate jakby czo złe,
a szpało to w łóżku na poduszkach jak nie przy-
mierzając dzieciok. — Miałam tyż tam wikt marny,
i żaro scinkłam kieby patyczek. Czo rano mi
dali herbaciny z bułeczką, a ja nawykłam do
ziuru z okraszą, i kawałem dużachnego chleba
i pyrek. Południe to tu bywało w wieczór, o Bo-
że Święty! jaki to był ten obiad, żupy że ino mo-
żno było chlipnąć, kawałatko mięsza, czaszem
wogamińszko słodkie, czo aż sie nie dobrze czło-
wiekowi robiło, a wszyćkigo ino drobina. Myśla-
łam wtedy, że już lepi u ojczów świnie paść, jak
być w tej Warsiawie. Nikaj tyz nie znajdzie
w chałupie an ilucywa, ani świcy, ani lampy z naf-

ta, ino pstyk nacisnę kasik guzik, a wszędzie światło kieby w jasny dzień, trza też było wszędzie akuratnie zamiatać i wycierać, bo czy dniem czy noczą, żaro wszystko dojrzeli, a pani, to jeszt moja sztaro, cinglim dogadywała mi żem miedźwiedz. Ale pan, jak sztaro nie widziała, to mnie zawsze szcypnął pod brodę i wołał „jananaś”. Jak życie moje jeszczem takiego paszkudnego słowa nie słyszała. A brat pani, młody panicz czo pi-szo w jakimś uniwerku, to cinglim za mną łąził jak ciele za krową, i cinglim ślepie za mną wy-trzeszczoł. Straśnie w tej Warsiawie są chłopy zaczypne. Po trocha przecie zaczęłam się przy-uczać do tego życia warsiawskiego, a jak doształam po miesiącu od pani zaszługi, a pan mi we-tknął jeszcze pore złotych w rękę na ucieche, a panicz tyż nie zaboczył o mnie, to żarok ku-piłam szobie modną szuknię. Z drugiego piętra Żosia co służy za młodszą u sędziów namówiła mnie żeby rzucić te chłopskie ubrania, a ubrać się po warsiawsku, to też zrobiła mi krawczowa, szukienke za kolana, a panicz kupił mi pończochy niebwabne różowe, a drugi panicz znów brat pana lakiry, to jak w nie wlażłam i zacyłam nie-mi stukać kieby koża kopytkami, som pon mnie pogłoszkał po gymbie i powiedział że jestem szyk, to jest, że jako na panią wyglądam. Pani jesz-cze godała żem miedźwiedz, ale jak pani wyle-ciała na Warsiawe i pół dnia jej nie było widać.

to miałam czałki szpokój, ino pan i panicze go-
dali mi cinglim różności, że sie musiałam czer-
winić.

Panice mi tyż obicali dać bilet do tjatronu,
gdzie to różne komedjanty sztuki pokazują, pono
lepi jesce jak u nos na jarmarku. A miałam jus
tych komedyj tu dosyć, bo ino cinglim zakryn-
cali tu jakigoś Radjoka, i to na czałe pokoje go-
dało, śpiwało i grało, nic nie mówiłam, ale to
pewnikiem źle w tym siedzi. Caszem mi się jesz-
cze moja Żapusta psybocyła i przyśniła, tatynek,
matusia, pociotek Franek, ksesno Ciapina, wujo
Maciek, a nabaży Walek czo sie do mnie zali-
coł, ale jak poźnawałam tylu galentych panów,
to mi się wydał ten Walek, taki niezgrabiasz, że
gorszy sto razy od naszymu dozorczy z którego
sie cinglim wyśmiewamy z kamratką moją Żosią.
Już to prawda że przy Warsiawskich galantach
nasze parobki wyglądałyby kiejby woły niezdar-
ne. Przyuczyłam sie tyż do roboty i bez czały
tydzień szło mi tak szprawnie, że ino sześć szkla-
nek szłukłam i talerzyszków czoś z pięć, szta-
romnie znów zwymysłała od miedźwiedzi, ale ja
gwizdze na to, boć od tego szkło i porcynela aby
sie tłukło. Ta Żosia od szędziów ładna dziewu-
cha, a ma szukniów przez lika czałą szafę, ale po-
wiada, że to jej bracia straziaki wszystko szpra-
wiają, a ma tych braciów parę, wszystko ładne
chłopy, ale jak jeden do ni przychodził, to wy-

pychała drugigo czo u ni siedział drugimi drzwiami, aby się nie spotkali, a jak miała w niedziele wychodne, to zawsze który z nich zabierał ją szamochodem na spacer, i paradowali szobie kiejby jaczy państwo. Z oną Żoską kupiłam też szobie nowy kapelusz na Nalewkach, bo pono są tam najeleganciejsze, czały był czerwony, kieby mak, a żydówka tak mi go nadzioła na głowę, że ledwie widzieć mogłam kaj ide, z Żoską tyż poszłyśma do felcera co się po warsiawsku nazywo fryżjer i kazałam sobie uciąć warkocz, bo przeciek terok żadna z paniów nie chodzi w długich włosach, jak chłopionka. Pokręcił mi je galancie, i jakoś dziwacznie nazwał, że dondukuje, a kiedy sie pokazałam moim kompanom, to aż wrzasnęły z zazdrości tak mi było ładnie. Brat pani ten z uniwerku zafundował mi też bilet do teatru jak już obiczał, poszłam więc z Żosią i jej jednym bratem, a zaraz się przyplątał do nas jakiś pan czo miał na głowie kaszkiet złocisty jak szamowar, i był okropnie psyścipny, powiedział że sie nażywa Wincenty, i że jest starszym naczelnikiem od beczki. Bardzo tyn pan Wincenty mi się podobał, kupił mi trzy szerdelki, pomarańcze, i cukierki, i prosił żebym czekała go jutro w wieczór koło bramy. Ja się dziwiłam że to jakoś nie uchodzi, ale Żosia wychowana od maleńkości w Warsiawie mówiła że to terok taka moda. A co tyż w tym tjatrze pokazywali

to nie sposób opowiedzieć; tańczowały panny w bardzy jeszcze kusszych odymnie szpodnicach, a plecy do pasa miały gołe, a czałe im ciało wszędzie przeglądało jakby przez żadnego nie były odzienia, panowie za jakichś królów, djablów czy dziwaków przebrani — a wszystko to zamiast godać, do siebie śpiwało, a kapela rżnęła od ucha. Gdzie tam nasza straziacko orkiestra ani się umywo do ni, a nasz organista to może szobie iść w ką, może i nie słyszoł takiego gronia i śpiwonia. Ten pan Wincenty, naczelnik od beczki, powiedział, że czo niedziele może mi dać bilet do tjatronu, ale pedziałam, że miarkuje, iż moja pani nie da mi tak często chodzić do tjatronu. Żośka zaczęła się śmiać, powiedziała mi żem głupio gęś ze wsi, i radziła mi, że jak tylko moja stara zacznie grymosić, abym ją w trąbę puściła, bo tu w Warsiawie paniów jak piasku, i każda z nas wnet inne miejsce zdybie, to też jak pani powie służącej jedno onrykliwe słowo, to należy jej odpowiedzieć dziesięć gorszych, niech zna sztara munsztrunek. Z tyatronu pojechaliśmy jak sie widzi samochodem na dancing, to jest na szrybrną szale gdzie jedzą, piją, i tańczują, tu pan Wincynty poczęstował nasz pączkami, kielbasą i papierosami, bo nauczyłam się od Żosi palić, no i tańczowaliśmy do szamego rana, ale nie były to żadne chłopskie obertasy, ani sztaroświeckie polki, i walce, ino szarlesztony, szymi i foksztroty, a nauczy-

łam się już tego wszystkiego od moich koleżanek jak schodziłyśmy się na zabawinie do dozorcy, czo nam na harmonji nowe tańcze grał. Na drugi dzień sztara mi moja zrobiła awanture, zem latawiec, miedźwidź, no i puściłam ją w trąbę. Za poradą Żosi doształam się do jednej pani czo mieszka przez pana, ale kilku bardzo grzecznych panów do ni psychodzi. Ta pani miała czałe trzy szafy pełne szukien, a żaraż dostałam od niej jedną nową, za to że jak jeden sztary pan przyszedł do ni, a był tam jeden młody, to ja powiedziałam, że moja pani poszła do jednej pani, a tak żgrabnie to żelgałam, że ten sztary pan dał mi pięć złotych na śpilki, a tamten młody dał mi żnów sześć złotych na czukierki, ale ja nie głupia kupować czukierki, bo u nasz czukierków było jak śmieci, a i perfumów, pudrów, i przeróżnych malunków, bo jeden aptykarz przynosił moi pani garncami, to dla niej i dla mnie było tego pod dostatkiem. A nauczyłam się też nie długo od moi stary bielić i malować gymbe, bo to teraz nie modne wyjść przez malunku na ulicze, to i brwi szobie podmalowałam na czarno, oczy podsiniłam na niebiesko, a uszta i policzki to już z konieczności musiały być czerwone. Aż mnie śmiech bierze jak spojrze na siebie w lustrze, że mogłam obiecać Walkowi, że będę jego żoną, bo czobym ja z takim niezgrabnym parobkiem robiła? ja się tu przed szamemi hrabiami i panami

opędzić nie mogę, tak mnie czałują po rękach, Zrazu mi dobrze było u tej pani, to jest u tej panny co kawalerów przyjmowała, ale przekonałam się, że to nie dla mnie towarzystwo, a że bardzo szobie pozwalała i miała dużą gembę, więc ześma się z szobą trochę przemówiły, i od słowa do słowa taka sie zrobiła szopka, że mi jej pół grzywy na obciętym łbie wyrwała, ona myślała że trafiła na frajerke, ale ja nie głupia, nie dałam sze jeździć na szobie, to też puściłam ją znów w trąbę, i teraz znów jestem u gdwca. Byłoby mi tam nieźle, bo pani nie ma, to też nijakich grymasów nie potrzebuje szłuchać, ale sztary bardzo nudny i żazdrosny jak piesz, chciałby abym czały dzień siedziała za murami i żeby nawet nie spojrzała na nikogo, ale widzi mi sie, że mój sztary ma okropną chęć na mnie, to jak mi zapisze czały szwój majątek, bo bogacz, to niech się ży mną ożeni, a ja i tak będę miała na pocieszenie pana Wincentego naczelnika od beczki, no i jego szofera, bo chłop młody, urodny i silny.

Te obowiązki czałkiem mi sie już sprzykrzyły, a jeżeli mi sztary nie zapisze przed ślubem czałego majątku, to zosztanę artystką w teatrze, bo jestem, jak wszyscy mówią, bardzo ładna i głos mam na ćtyry rejestry jak mi powiedział taki znawcza, czo jest urzędnikiem od przecinania biletów przy tjatrze, więc za jego protekcją wszta-

pię do tjatronu i wykieruje się na wielką artystkę a wtedy zobaczą wszyszczy czo to znaczy panna Marjanna Dudek, a że jesztem teraz edukowana, to też nauczyłam się zamiast „dzień dobry” witać znajomych szwoich po frajersku „bonżur”. Jak będzie tak będzie, ale służyć już nie będę, i na drugi raz przyjadę w szwoje strony tylko własnym moim szamochodem, bo będę czałą gymbą panią. A teraz do widzenia — orewuwar pańsztwu!

WALENTOWA.

(Posługaczka Łódzka).

Na scenę wbiega zdyszana kobieta tęga, brzydka, lat średnich z koszem.

Atom się też zmachała, nie daj Boże, wrogowi najgorszemu, (*zwracając się do publiczności jakoby do swej pani*). Pani! pani, już nóg nie czuję. To tu, to tu, a wszędzie czekaj człowiecze nieprzymierzając bydle w rzeźni na swoją kolejkę. O pani! usiądę trochę i wypocznę chociaż (*siada*). Co robić, trza do wszyckiego przywyknąć — pani, żeby nie ten nieboszczyk co mi się napyrtoł i ogłupił, żem polazła za niego byłoby wszycko inaczej. Ha! bo jaka ja to byłam urodna, to nie było takiej drugiej w całej fabryce. Co prawda to mi i teraz nie przygana, jestem

sobie czerwona, kieby piwonija, podufało, nie żaden kijek wystrugany, jak terażniejsze panny, ale dawniej to wszystkie dziewczuchy fabryczne zazdrościły mi kawalerów, a co ich też miałam, tego i na palicach nie zliczyłby — pani! a co jeden to bardzy był wlubiony we mnie. Pamiętam jak dziś Lewona, o jak ten był strasznie we mnie wlubiony, to kuždy mi go zawiścił, a jak szedł ze mną na ulicy, to się jeno za nami oglądali, bo nie był on byle jaki, nie taki jak wszyscy. Na gymbusi kieby malowanie. Oczyska małe, świdorowate, czarne keby rodziniki, takie jakieś zabawne jak patrzył tu, to widział tam, a jak tam, to tu, a nogi to miał tak jakoś podwinięte zgrabniutko pod siebie palicami do środka, że jak szedł to fik mig! fik mig (*pokazuje kręcąc odpowiednio palcami*) ledwie że zanim zdążyć mogłam, tak temi nożętami pręciutko przebierał.

Pani! co ja za te urodę moją wycierpiałam, niechno pani posłucha. Szłam raz ulicą, wracałam z fabryki, a tu idzie jakiś porządny w kapelusie, parasyłu, w piestrzyńcach złotych na palcach wszystkich i zaczepia mnie: „panienko! panienko! pójdziemy się przejść i podaje mi ramie. Ja patrzę na niego i jak nie zawołam ze złości „a bo ja to pana znam, abym z panem łąziła po spacerach; to on na to chlust mnie w pysk — uciekłam, i zaczęłam płakać, ale kiedy przyszłam do swoich gospodarzy u których mieszkałam i opo-

wiedziałam co mi się przydarzyło, powiedział mi gospodarz, że bardzo nie delikatnie i nie honorowo zrobiłam, bo jak taki porządny pan chciał ze mną iść pod rękę na spacer, to powinnam była iść z nim, a nie odpowiadać hardo. — Pani! miał on racyjom, świntom racyjom ten mój gospodarz, ale bo to takie młode wie, jak wedle elegancji postąpić — ha! dziś to by człowiek i wiedział.

A co tych kawalerów było, to możnaby dzień i noc opowiadać o nich. Wszystkiemu winna była tylko ta moja uroda — doprawdy, że nie miałam od tych chłopaczysków żadnego spokoju, aż sprzykrzyło mi się wszystko i ożeniłam się z tym moim starym. — Nie był on co prawda całkiem stary, ale i niemłody, razem robiliśma w fabryce, ale on tak się we mnie lubił, że w żaden sposób się już od niego odczepić nie mogłam. Ha! Pani! a jak on mi po weselu dogadzał, jak stroił, to wszyscy mi go zawiścili, zawsze żeśwa razem w każde świnto i niedziele chodzili na spacer pod rynke jak przystoi na parę małżeńską, ubrano byłam kieby lalka, kapelusz z kwiatami, a nie były to żadne chłopskie, ale ślacheckie pańskie kwiaty, róże, georginje, astry, goździki, a mój w tuziurku, kapelusie, ino laseczką wywijoł kieby jaki hrabia, na palicach nie brakowało mu też złocistych piestrzyńców tak jak i mnie, to tyż znajomki przystowały i nie mogły się nam nadziwić.

Dobrze nam się wiodło, coprawda czasem się i mój upił, to wtedy i kija na mnie nie żałował, ale ja się nie dałam, i barę zawsze odemnie oberwał, a na drugi dzień jak otrzeźwiał, pytał mi się, „żono ukochana czemu mnie tak wszycko boli i mam pełno sińcy na sobie?” — ja odpowiadałam wtedy jakbym nie wiedziała „pewnoś się gdzie przewrócił, mężu ukochany, boś był pijany” i żeśma się znów na nowo jak na małżeńskie stadło przypado miłowali. Mielişma z tego świętego Sakramentu małżeńskiego troje dzieci. Janielcia umarła, a Stefkę zna pani, co to niedawno poszła za mąż, no i Jóźka, co ma na piętnasty rok. Nie długo to ta tego szczęścia, ty uciechy małżeński miałam. Stary mi zaczął harwencić, chorować — aż go z fabryki wydalili — co było robić — namówili go komotry, żeby poszedł na żebry. Cały tydzień chodził po proszonym chlebie, a zawsze w sobotę wracał do domu. Pani! jaki to dobry proceder ta żebraczka, to nie do pomyślenia, co on nie przynosił; — i mąki, i kaszy, i słoniny, i kielbasy — a pieniędzy, a jajek, tylachna tego było żeśwa cały tydzień mieli tego poddostatkiem, a jeszcze się coś nie coś sprzedawało. Ale i to nie długo trwało, jednego razu przyszedł i już na drugi dzień zwlec się z łóżka nie mógł. Poszłam po księdza, wyspowiadał się jak należy, a jak zobaczyłam że ma mu się na umieranie, zapaliłam świecę, ubrałam go czysto, i zrobiłam mu krzyzik

na czole palicem, potem poszłam do fabryki, a dziewczuchę ostawiłam, aby pilnowała ojca. Ledwo zaczęłam robotę, a tu wpada zabeczana moja Stefka, że ojciec zmarł, bo już nie dycho. Rzucałam wszystko, zaczęłam jak przynależy krzyczeć, lamentować na cały głos — „ja bidno gdowa, sirota“, zawołałam sąsiady, kumotów, no i ostawiłam z dziećmi sama przez ukochanego męża. Ale pani! co ja miałam kłopotu z tą moją Stefką, bo urodą wdała się całkiem we mnie, w swoją rodzicielkę, to też kawalerów cinglim się jak utrapienie w koło niej kręciło. Ale charakterem to wdała się całkiem w nieboszczyka męża — ona nie była dobra dla swojej matki — nie pani — wcale nie była dobra — a jak się upiła, to aż na ulice za mną wylatywała i chciała bić, a czasami aż ludzie musieli nas rozbrajać tak się zacie-trzewiła. Miałam ja drugą córuchnę Janielcię co umarła, ona to akuratnie we mnie się wdała, w swoją rodzicielkę, całki miała mój charakter, moje pomyślenie, ona nie była by dała Stefce krzywdy mi robić — o moje dziecko! o moje uko-chanie! czemuż Pan Bóg ciebie zabrał? (*zaczyna płakać, do pani*). Pyta się pani jaka stara była Janielcia, ano akuratnie jak umarła miała cztery tygodnie — tak pani, cztery tygodnie. Wszystko mi się już sprzykrzyło z tymi kawalerami Stefki, to też jak naparł się o nią Roman nie przeszkadzałam i poženili się. Pani! a co to było za we-

sele, co za śpiewanie, a jaka muzyka, trzy harmonije i dwa klarnety, bo bymbna mój zięć nie chciał i mówił że to nie po pańsku. A jak była moja Stefka do ślubu ubrana, to jak sama grafini, suknia kawał przed kolana, a w tyle ogon razem z welionem włókł się aż po ziemi. Ja też, rodzicielka ubrałam się jak należy, w sukni kieby modrak, a do ciepca z rułami i z banderiami miałam wpięte w każdej rule inny kwiat, a były to piwonije, maki i róże, co niby gwiazdy z daleka świeciły się. Niejako się nie mogłam dowiedzieć jakie ma mój zięć profesję, rzemiosło, proceder, bo całe dnie spał w domu, a nocami wychodził na robotę, a dopiero od mojej kumy dowiedziałam się, że Roman i jej mąż są bandytami. Pani! co to za życie ma za nim moja Stefka, to ptasiego mleka jej nie brakuje, co rano naznosi jej różności, i ubrańców przeróżnych, i srybła, i złota, a co wędlin, pieczywa, likierów, win, tego się nie zliczy — a ma on też za kompana męża mojej kumy to jest owego kamrata, bo razem zawsze w nocy chodzą na robotę.

Ja dzięki Bogu mam też przy nich co jeść i co pić, przyodziewku mi też przy nich nie brak, ale czasami to ostawiają mnie samiusieńką w domu, a oboje na całe dnie i noce wędrują kajsiś, to mi się i dłuży przez męża. Pani! pamiętam w zeszłym roku na wigilję Bożego Narodzenia ostawili mnie samiusieńką jak ten palec (*pokazu-*

je palec) bidną gdowę, sirotę, taki mnie żal chwycił, że zaczęłam płakać rzewnymi łzami, — miałam prawda poddostatkiem wszelkiego jedzenia i napitku, ale w coraz większą żalność wpadałam, bo nawet nie było żywej duszy, aby w ten wieczór świąteczny do kogo się napić, nalałam też jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty kieliszek wódki, to słodkiej, to pieprznej, to gorzkiej i zwracając się do fotografii ukochanego nieboszczyka męża zawołałam „o mężu ukochany w twoje ręce!“ Jeszcze się bardziej popłakałam, a z tego wielkiego żalu taki mnie śpich chwycił, że obudziłam się tak ubrano jak byłam, dopiero w jasne rano. Wtedy weszła do mieszkania Stefka z Romanem, ale Pani kochana jak oni wyglądali, to jakby wielcy państwo, — ona kusiutko ubrana, za kolana w różowych pończoszkach i lakierach — w palicie prawdziwie kalakuirowym, a jaki miała kapelusz, to wcale jej oczów nie było widać, ino z boku jakiś sztucznie ułożony kwiat dyndoł, a on w futrze jak jaki dziedzic i też w czapce kalakuirowej, a że byli oboje pijani, zaczęli zaraz śpiewać, dogadywać mi, i zaraz się uśpili. Mój Józek też nie długo wrócił, a z tego dziecioka mam już pociechę — całe dnie pilnuje na kolei jak przychodzą pociągi — to usłuży pasażerom, to im paczki odniesie, a jak się da, to się jakoś zgrabnie sprawi, że on razem z paczką zginie, a ma chłopak też swoich kamratów co mu w tem po-

magają. Już podziół mi Roman, że jak mu tak sprawnie pójdzie, to go weźmie do swojej pomocy i zrobi z niego bandytę. — Tak pani, nie długo doczekam się, a mój jedynak zostanie bandytą. Największy strach ino aby ich nie złapali, bo jak wsadzą do więzienia to się wszystkiego odechce. Niedawno wypuścili z więzienia jednego z kompanów mojego zięcia, a co też tam za męczarnie przeszedł, powiedział, że już raz na zawsze odrzekłby się nocnej roboty i chce się wziąć do szewstwa, którego się z młodości uczył. Nie jest coprawda już młody, ale jeszcze chłop niczego — powiedział mi też, że chciałby w spokoju pracować przy statecznej i urodnej (*z uśmiechem dumy*) no, niby ja kobiecie — a nie od tego aby nasz sakrament święty nie pobłogosławiony został dzieciąmy (*do publiczności*). Pyta się pani co mu odpowiedziałam na to — adyć zgodziłam się, że da na zapowiedzi — bo przez chłopą nijako żyć kobiecie, a już mi się doprawdy to gdowieństwo sprzykrzyło.



BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY.

2. **Monologi**, przez *F. Reinsteina*.
3. **Teodolinda**, krot. w 1 ak. p. *J. B. Szweitzera* (3 m. 3 k.).
4. **Majster i czeladnik**, komedja w 2 aktach przez *Józefa Korzeniowskiego* (5 m. 2 k.).
5. **Folwark Primarose**, komedja w 1 akcie przez *Cormon i Dutèrtre* (3 m. 1 k.).
6. **Dzienniczek Justysi**, komedja w 1 akcie przez *J. Kościelskiego* (2 m. 2 k.).
7. „**Wiecznie**“, komedja w 1 akcie przez *K. de Courcy*.
8. **Prelegent**, fraszka w 1 akcie przez *J. Kościelskiego*.
9. **Pacjent № 1-szy**, hum. w 1 a. p. *A. Starkmana* (3 m. 5 k.).
10. **Zaproszenie do walca**, komedja w 1-ym akcie przez *Aleks. Dumasa* (6 m. 3 k.).
11. **Na balkonie**, fraszka sceniczna przez *A. G. Cagna*.
12. **Château Yquem**, krotchwila w 1 akcie przez *W. Busnach'a* (2 m. 2 k.).
13. **Model na bohaterkę**, komedja w 1 ak. przez *H. Holpein'a* przekład *W. Bogusławskiego* (2 m. 1 k.).
14. **Partja pikiety**, komedja w 1 akcie przez *Bayarda i Cornu'a* (4 m. 1 k.).
15. **Marynarz**, dramat w 1 ak. p. *A. Theuriet'a* (2 m. 1 k.).
16. **Pierwsza chmura**, bluetka w 1 akcie przez *A. Stocckiego* (1 m. 1 k.).
17. **Nieboszczyk swatem**, kom. 1 ak. p. *Alfa* (3 m. 3 k.).
18. 18^A. **Pożycz mi swej żony**, komedja w 2 aktach przez *M. Desvalières* (5 m. 4 k.).
19. **Najlepsza broń**, k. w 1 a. p. *F. Strzeckiego* (4 m. 1 k.).
20. **Na raucie**, kom. w 1 ak. p. *F. Strzeckiego* (3 m. 2 k.).
21. **W pułapce**, komedja w 1 ak. przez *Alfa* (4 m. 4 k.).
22. **Nic bez przyczyny**, kom. w 1 ak. przez *P. Bayarda*.
- 23 i 24. **Monologi**, (dla pań) I i II, przekład z francuskiego.
25. **Adam i Ewa**, komedyjka w 2 aktach (2 m. 1 k.).
26. **Z deszczu pod rynnę**, k. w 1 a. p. *P. E. Moreau* (3 m. 2 k.).
27. **Niema męża w domu**, komedja w 2 aktach, przekład z francuskiego (8 m. 3 k.).
28. **Między Scyllą i Charybdą**, komedja w 1 akcie przez *O. Feuillet'a* (2 m. 3 k.).
29. **Siostra Lorcja**, kom. 1 ak. p. *P. Heysego* (3 m. 3 k.).
- 30 i 31. **Jeden dzień**, trzy odsłony przez *Adama Krechowickiego* (8 m. 4 k.).
32. **Klucz od zatrasku**, komedja w 1 ak. przez *Grange'a i Bernard'a* (6 m. 3 k.).
33. **Gapiątko z St. Flour**, kom. w 1 ak. z franc. (4 m. 2 k.).
- 34 i 35. **Humoreski sceniczne**, dla jednej i dwu osób grających przez *Z. Niedźwieckiego*. I. Oryginalne.
36. **Dzień św. Zofii**, obrazek dramatyczny w 1 akcie przez *Jul. Guillment* (2 m. 3 k.).
37. **Guwerner**, kom. w 1 ak. p. *Z. Przybylskiego* (2 m. 5 k.).
38. **Nieudana próba**, krotchwila w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 5 k.).

- 23.8 1928
- 39 i 40. **Humoreski sceniczne**, dla dwu osób grających przez *Z. Niedźwiedzkiego* II. Tłómaczone.
 41. **Krew nie woda**, krotoczwila w 1 ak. przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 1 k.).
 42. **W korcu maku**, tragi-komedja w 1 akcie przez *Pawła Radeckiego* (2 m. 2 k.).
 43. **Wdowa z musu**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 4 k.).
 44. **Pożegnanie**, kom. w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 1 k.).
 45. **Odwet**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 2 k.).
 46. **Polityka panny Florci**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 2 k.).
 47. **Przezorna córka**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 2 k.).
 48. **Przygody pana Edwarda**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (1 m. 2 k.).
 49. **Babula**, obrazek ludowy w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 3 k.).
 50. **Czary**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 4 k.).
 51. **Nieboszczyk z przypadku**, żart sceniczny w 1 akcie przez *Adolfa Starkmana* (5 m. 2 k.).
 52. **Anonim.** *Bluetka* sceniczna w 1 odsłonie przez *A. Starkmana* (4 m. 3 k.).
 53. **Piorunem**, komedja w 1 akcie przez *Jerzego Orwicza*.
 54. **Reduta na poddaszu**. Żart sceniczny w 1 akcie przez *Ed. Czaplińskiego* (4 m. 2 k.).
 55. **Zapach piżma**. Humoreska w 1 akcie przez *Ed. Czaplińskiego* (3 m. 3 k.).
 56. **Złote gody**. Komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (9 m. 9 k.).
 - 57 i 58. **Na estradę**. Monologi, dialogi i deklamacje przez *Adolfa Starkmana*.
 59. **Prowincjonalne tango**, farsa w 1 akcie przez *Ed. Czaplińskiego* (2m. 2 k.).
 60. **Spokojny lokator**, farsa w 1 akcie przez *L. Morozowicza* (3m. 3 k.).
 61. **Strajk na wsi**. Farsa w 1 akcie przez *Ed. Czaplińskiego* (2 k. 6. m.).
 62. **Ś. p. Jan Szmerlecki**. Farsa w 1 akcie *F. Reinsteina* (6m. 1 k.).
 63. **Siódma córka prezydenta**. Afera matrymonjalna w 1 akcie przez *Al. Powojczyka* (4 m. 1 k.).
 64. **Noc sylwestrowa**. Obrazek w 1-iej odsłonie przez *I. Piątkowską* (6 m. 3 k.).
 65. **Próba miłości**. Ob. w 1 odsł. p. *I. Piątkowską* (4m. 2k.).
 66. **Precz z mężczyznami**. Obrazek sceniczny w jednej odsłonie przez *I. Piątkowską* (1 m. 4 k.).
 - 67 i 68. **Monologi**, przez *I. Piątkowską*.



540820/67-68
